

AGNIESZKA OLEJNIK

Mikołaj
do wynajęcia



FILIA

AGNIESZKA OLEJNIK

Nikotaj
do wynajęcia

FILIA

Nie wszystko złoto, co się świeci.
William Szekspir, *Kupiec wenecki*

Nie wszystko błoto, co się wymiata.
Honoré de Balzac, *Komedia ludzka*



Śnieg sypał i sypał. Kryształki lodu, uformowane w misterne gwiazdki, wyglądały jak białe ćmy o kosmatych skrzydłach. Niespiesznie zmierzały w stronę ziemi, osiadały miękko na gałęziach monumentalnych świerków, bezlistnych konarach dębów, drewnianym ogrodzeniu i maskach samochodów zaparkowanych za hotelem. Cierpliwie pokrywały dachówki na szczycie budynku i już po chwili utworzyły białe poduszki na każdym skrawku płaskiej powierzchni.

Na jednej z dębowych gałęzi siedziała zniesmaczona sójka o różowawym brzuszku. Przeczesiała dziobem modre pióra na skrzydle, po czym przekrzywiła głowę i zerknęła w dół, usiłując sobie przypomnieć, gdzie ukryła zapas żołądździ. Leżały tam, pod mchem, a teraz jeszcze pod śniegiem. Na szczęście zapełniła też drugi magazyn, w dziupli starej brzozy. Mimo to odnosiła niejasne wrażenie, że

coś poszło nie tak. Może powinna była jednak odlecieć na zimę?

Dla sójki, drzew, żołędzi i płatków śniegu był to poranek jak każdy inny, jedynie odrobinę mroźniejszy. Ale dla ludzi, którzy wciąż spali w przykrytym śnieżną czapą pensjonacie albo właśnie zaczynali przeciągać się leniwie, zaczął się drugi dzień świąt.

Gdyby nasza sójka miała naturę podglądaczki, niewątpliwie zajrzałaby do pokoiów przez okna na piętrze. Przez dwa pierwsze od lewej – częściowo zasłonięte ciemnymi kotarami – ujrzałaby rozespane małżeństwo Grabców, Jolę i Karola, oraz ich niesforne pięcioletnie bliźnięta, Pawełka i Paulinkę. Niestety, choć rodzice bardzo by chcieli jeszcze pospać, ich dzieci postanowiły rozpocząć dzień, gdy tylko na zewnątrz zrobiło się jasno.

W kolejnym pokoju sójka zobaczyłaby siostrę Joli Grabiec, Klarę Bralik y Martinez, oraz jej męża Xaviera. Ponieważ przywykli do późnego wstawania, a w dodatku poprzedniego wieczora z zapałem oddawali się przyjemnościom hulaszczego trybu życia, teraz spali głębokim snem i nic nie wskazywało na to, że wkrótce się obudzą.

W kolejnym oknie pojawiła się na moment rumiana twarzyczka zwieńczona włosami sterczącymi niczym wiecheć słomy. To mały Jaś Bąk, przez rodzinę zwany Bączkiem. Miał niewiele ponad rok, porozumiewał się za pomocą pojedynczych słów, ale intonacją operował tak znakomicie, że wszyscy doskonale go rozumieli.

Nieustająco się przemieszczał i doprawdy należało mieć oczy wokół głowy, aby go upilnować. Teraz właśnie wdrapał się na parapet i usiłował zjeść odrobinę ziemi ze stojącej tam doniczki z kaktusem. Ponieważ ukłął się w opuszkę, zapłakał żałośnie, a Piotr, jego zaspany ojciec, usiłował go pocieszyć i odwrócić uwagę opowieścią o tym, gdzie rosną największe kaktusy i jakie mają kolce. Piotr skończył geografię i przy każdej okazji potrafił wtrącić ciekawostkę ze swojej dziedziny. Nieważne, czy ktoś chciał słuchać, czy nie.

Żona Piotra i mama Jasia, Beata, jeszcze spała. To trzecia z siostr, zupełnie inna od dwóch poprzednich. O ile Jola była rzutka i energiczna, zaś Klara – nieustraszona i pyskata, Beata stanowiła idealną ilustrację osoby, którą ludzie zwą „myszką”. Może nie szarą, bo miała delikatną, eteryczną urodę, ale na pewno cichą i ostrożną. Taką, co to spędza całe życie w kącie, na wypadek gdyby w pobliżu pojawił się kot. Niestety, mały Jaś nie odziedziczył po niej tej cechy nawet w jednym procencie.

Była jeszcze najmłodsza z siostr, Elżbieta Bralik. Sójka nie mogłaby zajrzeć do jej pokoju, bo tylko tu kotary zasunięto na noc. Zresztą Ela nie leżała już w łóżku; wyszła do łazienki i siedziała tam od pół godziny. Przyłożyła palce do podpuchniętych powiek i uciskała w nadziei, że obrzęk nieco się zmniejszy. Wreszcie odjęła dłonie od twarzy i z westchnieniem stanęła przed lustrem. Niestety, nie wyglądała ani odrobinę lepiej. Odwróciła się bokiem

do lustra i wciągnęła brzuch. Na szczęście w hotelu nie było wagi, nie mogła więc na niej stanąć i postanowić, że od jutra znów zacznie się odchudzać.

Zza drzwi dobiegło pomrukiwanie, jakie zwykle towarzyszy porannemu przeciąganiu się. A zatem mężczyzna, który wciąż jeszcze spał, kiedy wymykała się do łazienki, właśnie zaczynał się budzić. Ela nie wiedziała, czy to tylko przekręcanie się na drugi bok, czy już naprawdę pobudka – więc zawahała się, co zrobić. Najchętniej zostałaaby w łazience, aż obrzęk pod oczami nieco się zmniejszy – ale z drugiej strony nie powinna okupować pomieszczenia, z którego każdy dopiero co obudzony człowiek potrzebuje skorzystać, i to niekiedy pilnie. Sytuacja była krępująca, tym bardziej że poprzedni wieczór przyniósł kilka niespodziewanych zwrotów akcji, a Ela nie bardzo wiedziała, co wydarzyło się naprawdę, a co jej się tylko wydawało. Może wszystko, co kołatało w jej pamięci, okaże się prawdą? A może nic?

Tak czy owak, sójka nie zobaczyłaby ani Eli, ani budzącego się właśnie mężczyzny, skoro – jak już wiemy – okna szczelnie zasłonięto. Mogłaby natomiast zajrzeć do pokoju obok albo przefrunąć nad dachem i do woli przyglądać się osobom zakwaterowanym z drugiej strony pensjonatu, od północy. Zdołałaby także zerknąć do sali jadalnej, gdzie ustawiano już talerze z fantazyjnie ułożonymi wędlinami i serami – a nawet do kuchni, gdzie dusiły się na maśle kawałki cukinii i papryki.

Lecz sójka tego nie zrobiła. Jako czujna strażniczka lasu zaskrzeczała ostrzegawczo, usłyszawszy skrzypienie śniegu pod czyimiś butami, i natychmiast zerwała się do lotu. Przystojny brunet, który ją spłoszył, nie zauważył jednak ruchu w koronach drzew, pogrążony w niewesołych myślach.

Ale zacznijmy tę opowieść jak należy, od początku.

ROZDZIAŁ 1, *w którym obchodzimy łzawę katarzynki*



Na komodzie, we wnętrzu ceramicznej dyni, mrugała świeczka o zapachu cynamonu. Choć była już końcówka listopada, w mieszkaniu nadal królowały jesienne ozdoby – jedynie za oknem migotały bożonarodzeniowe światełka, które niecierpliw sprzedawca zawiesił w witrynie sklepu spożywczego.

– Nie wywinę się, nie ma szans! – jęknęła Ela, po czym rozlała resztę wina do kieliszków przyjaciółek. – Muszę wziąć udział w całej tej szopce i jeszcze się przy tym uśmiechać!

– Ale dlaczego „szopce”?! – zaproponowała Kaśka. – Przecież od pół roku razem z siostrami kombinowałyście, jaką niespodziankę sprawić rodzicom z okazji rocznicy ślubu...

– Miał być wyjazd na Wyspy Kanaryjskie, dobrze kojarzę? – wtrąciła Olga.

– Miał, ale nie wypaliło. Któregoś dnia Beata rzuciła niby od niechcienia, że fajnie byłoby wybrać się gdzieś, gdzie jest ciepło, a wtedy mama oznajmiła, że ona woli polską zimą, a zresztą do samolotu nikt jej nawet siłą nie wciągnie. No i pomysł upadł.

– A potem mówiłaś o wielkim przyjęciu. To czym to się różni od...?

– Tym, że przyjęcie planowaliśmy tu, na miejscu! Rozumiesz? Sami swoi, moje siostry z mężami i ja, ale nadal u siebie. Każde spotkanie w rodzinnym gronie to wystarczająco dużo stresu, mimo że spotykamy się we własnym domu. Wiecie, jaka wymagająca bywa moja matka. Takie rodzinne spędy są dla mnie jak egzamin!

Przyjaciółki pokiwały głowami ze współczuciem.

– Aż tu nagle Karol wyskakuje z tym swoim idiotycznym pomysłem! – ciągnęła rozemocjonowana Ela. – Najpierw palnął, że restauracja, no dobra, może to i niegłupie, bo w domu nie udałoby się utrzymać wszystkiego w tajemnicy, ale to, co wymyślił teraz?! Wyjazdowe święta...?! Hotel albo pensjonat?! I to na cały tydzień, z rozrywkami typu wycieczki, termy, spa albo inne takie?!

– Pomysł wcale nie jest idiotyczny – sprzeciwiła się Olga. – Ja bym bardzo chciała wreszcie gdzieś wyjechać na Boże Narodzenie. A gdyby jeszcze ktoś mi zorganizował pobyt w spa? To już bajka!

Ela westchnęła. Ona też zawsze chciała. Przecież nie ma nic złego w wyjeździe i wypoczynku. To o wiele lepsze

od nerwowej krzątaniny, która towarzyszyła przygotowaniom. Rodzina się powiększała, mama nalegała, żeby przy wigilijnym stole co roku pojawiły się wszystkie cztery córki, a skoro córki, to wiadomo, z mężami i dziećmi... W ten sposób rodzinne święta miały w sobie coraz mniej uroku, a coraz bardziej stawały się wyzwaniem logistycznym; potęgujące się zmęczenie i nerwy prowadziły do tego, że kiedy wreszcie siadano do wieczerzy wigilijnej, wybuchały głupie sprzeczki. Zwłaszcza że mama jako nieuleczalna perfekcjonistka zawsze coś krytykowała: a to na oknach zostały smugi, a to ktoś zapomniał zetrzeć kurz z liści storczyków, a to ciasto pierogowe było nie dość wyrobione i przez to za mało elastyczne...

Dlatego myśl o tym, że święta mogłyby wyglądać inaczej, wydawała się naprawdę kusząca. Siostry wymyśliły, że w przeddzień Wigilii, czyli zanim Janina Bralik wdzieje fartuch i ruszy do kulinarnego boju, pod dom podjedzie Karol i porwie teściów pod jakimś pretekstem (może pomoc w zakupach albo cokolwiek równie błahego). Teraz do akcji miała wkroczyć Ela, jako najmłodsza córka państwa Bralików i wciąż mieszkająca z nimi w domu rodzinnym. Jej zadanie polegało na udawaniu, że pod nieobecność mamy zajmie się gotowaniem; w rzeczywistości miała spakować walizki rodziców i zawieźć je do zarezerwowanego hotelu. Tam już będzie czekała reszta rodziny i zacznie się wspólne świętowanie Bożego Narodzenia oraz – przede wszystkim – rubinowych godów Janiny i Władysława.

– Więc o co ci właściwie chodzi? Co ci się nie podoba? – zapytała spokojnie Kaśka. – Weź głęboki wdech i po prostu wywal wszystko na wierzch. No już. Szczerze i do dna, jak na terapii.

Ela najpierw wykonała owo „do dna”, dopijając wino. Potem sięgnęła po serwetkę, ponieważ pod wpływem wychylonego duszkiem alkoholu załzawiły się jej oczy, i wreszcie wykrztusiła to zdanie:

– Bo wiecie, jak u nas jest. Rodzina perfekcjonistów. Wszystko musi być idealnie, począwszy od naszego wyglądu, a skończywszy na potrawach świątecznych.

– Oj tam, oj tam, jakoś to przeżyjesz! Jak co roku.

– Ale czekaj! – Broda Eli zadrżała od powstrzymywanych łez. – To nie koniec! Mówiąc, że zjawi się też „reszta rodziny”, mam na myśli tamtych od strony Grabców, czyli teściów Joli... Karol nie chciał, żeby jego rodzice zostali sami na święta, ustalono więc, że trzeba ich wtajemniczyć. Pomysł im się spodobał i potwierdzili swój udział. A skoro tak, to oczywiście przyjdzie też Bartek.

Zawiesiła głos, a widząc na twarzach przyjaciółek kompletny brak zrozumienia, dorzuciła:

– Z osobą towarzyszącą. Wyobraźcie to sobie: trzy moje siostry z mężami, Bartek z dziewczyną... A ja sama!

No ładnie. Zatem w końcu wyszło szydło z worka, w dodatku zostawiając po sobie wyjątkowo szpetną dziurę. Od kilku miesięcy Ela starała się ukryć przed całym

światem to, jak bardzo cierpi po rozstaniu z Bartkiem i jak bezwartościowa czuje się przez to, że on nie walczył o ich związek. Nie przyznała się nigdy przed nikim, nawet przed przyjaciółkami, że dotąd nie przestała czekać na telefon albo wiadomość od niego. Wołała udawać obojętną i nieco znudzoną życiem, aniżeli okazać się przegrywem.

Pokłócili się pewnego majowego dnia – ot tak, z dnia na dzień, w dodatku o błahostkę. Gdyby ktoś jej kiedykolwiek opowiedział tak banalną historię: o dwojgu zakonchanych, którzy są razem od pięciu lat, planują wspólne życie, a potem ni stąd, ni zowąd sprzecząją się o to, czy lepiej mieć kota, czy psa – i z tego powodu rozpada się ich związek – nie uwierzyłaby. Uznałaby, że to bzdura, przecież nie można się pokłócić o taki drobiazg, bo jeśli nawet, to potem człowiek ochłonie i zadzwoni, aby powiedzieć, że nieważne, psy czy koty, sprawmy sobie choćby świnkę wietnamską, byle razem; że kocha, że tęskni i nie może sobie znaleźć miejsca, że...

No, ale on nie zadzwonił, a to znaczy, że nie kochał, nie tęsknił, miejsce sobie znaleźć mógł, jak najbardziej, a tak w ogóle to lepiej mu w pojedynkę. Albo, co znacznie gorsze, poznał nową miłość.

– Myślałam, że Bartek to już przeszłość – zauważyła Kaśka po chwili milczenia. Wstała i poszła do kuchni po drugą butelkę imieninowego wina, które dekantowało się od godziny. – Co ci przeszkadza, że tam będzie? – podjęła po powrocie, nalewając do kieliszka Eli rubinowy trunek.

– Nie przeszkadza jej fakt, że będzie – oznajmiła Olga w przebłysku zrozumienia. – Tylko że on ma osobę towarzyszącą, a ona nie.

Ela pokiwała głową z ponurym wyrazem twarzy. Dobrze i to, pomyślała. Lepiej wyjść na zazdrośnicę niż ujawnić prawdę, która wygląda znacznie bardziej żałośnie: że wciąż go kocham, codziennie przeglądam jego zdjęcia na ekranie laptopa, powiększam je sobie i gapię się na te wszystkie szczegóły. Jakie ma brwi i rzęsy, jaki małutki garbek na nosie, jakie szerokie ramiona... Zastanawiam się, czy nadal zapuszcza włosy i czy już da się je zebrać w kucyk, żeby nie opadały na twarz... Rany, ależ jestem beznadziejna!

– Swoją drogą, jak on zdołał sobie kogoś znaleźć? – zastanowiła się Kaśka. – Przecież nigdzie toto nie wychodzi, siedzi w domu jak aspołeczny dziwak...

– Dlaczego zaraz dziwak? – Ela poczuła się w obowiązku bronić dawnego narzeczonego. – Teraz wielu ludzi tak funkcjonuje. A już zwłaszcza jeśli ktoś pracuje z domu, jak on. Programiści po prostu wiodą takie życie: od rana do nocy z nosem w komputerze. Może to jakaś dziewczyna z firmy? Mają te swoje... „kole”.

– Faj! Nie znoszę takiego spolszczania angielskich wyrazów. Nie można tego nazwać „wideokonferencją”?

– Okej, teoretycznie na takim „kolu” mógł wyhaczyć jakąś równie zdziwaczalą programistkę – zauważyła Kaśka, ignorując językowe preferencje Olgi. – I co, teraz randkują

online? Seks też będą uprawiać na kamerkach? – zachichotała. – Cóż, jedno jest pewne: dzieci z tego nie będzie.

– Przestań, błagam.

Ela doskonale wiedziała, że przyjaciółka się wygłupia, żeby poprawić jej humor, ale zupełnie jej to nie bawiło.

– Ja nie jestem zdziwaczalą programistką ani aspołeczną dziwaczką – zauważyła po chwili – a jakoś nikogo nowego nie poznałam. Zresztą nieistotne. Po prostu to takie... upokarzające.

Po czym wreszcie zrobiła to, na co miała ochotę od samego początku, odkąd najstarsza siostra zadzwoniła do niej z informacją, że Karol wstępnie znalazł już miejsce na „wyjazdowe święta”: rozplakała się jak skrzywdzone dziecko.

Powrót do domu nie był łatwy, wymagał bowiem ukrycia zapuchniętych od płaczu powiek przed bystrym wzrokiem matki i ojca. A także uważania na to, żeby nic nie palnąć, skoro „wyjazdowe święta” miały stanowić niespodziankę dla rodziców, którzy między Bożym Narodzeniem a sylwestrem obchodzili czterdziestą rocznicę ślubu.

Dlatego kiedy Ela przekroczyła próg domu, natychmiast zdjęła botki, odstawiła je do szafy, po czym na palcach przemknęła na schody, by schować się w łazience na piętrze i doprowadzić twarz do porządku. Niestety, tata usłyszawszy jej kroki, wyjrzał z kuchni, gdzie właśnie zmywał po późnej kolacji.

– Zostało trochę sałatki – powiedział. – Nie chcesz, córka?

– O tej porze się nie je – odparła nieco zbyt szorstko, więc natychmiast się poprawiła: – Dziękuję, tato.

– Ale naprawdę smaczna, z cykorią – kusił dalej. – Niskokaloryczna, tylko łyżeczka majonezu. Karol mnie nauczył, jak robić, żeby nie była gorzka. Wystarczy namoczyć cykorię w mleku. Kto by pomyślał? Jednak co kucharz, to kucharz. A co ty taka jakaś niewyraźna?

Podszedł bliżej i przyjrzał się jej badawczo.

– Aaa, bo beczaliśmy z dziewczynami na filmie – bąknęła Ela, po czym prędko wbiegła po schodach. – I ożłopałam się wina. Muszę do łazienki.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usiadła na brzegu wanny i znów się rozplakała – tym razem sama nie wiedząc dlaczego. Może z powodu tej „niskokalorycznej”, a może dlatego, że tata, mówiąc o Karolu, niechcący przypomniał jej o Bartku i jego osobie towarzyszącej?

Problem polegał na tym, że Karol i Bartosz byli braćmi. Zresztą właśnie dzięki ich pokrewieństwu Ela poznała ukochanego. Wydarzyło się to prawie sześć lat temu. Jej najstarsza siostra Jolanta brała ślub z Karolem Grabcem, szefem kuchni, a zarazem właścicielem największej i najdroższej restauracji w Partykach – Pod Lipami.

Było to długie narzeczeństwo zakończone późnym zawarciem małżeństwa, a kto wie, możliwe, że związku

Zbliża się Boże Narodzenie. Zwykle o tej porze w rodzinie Bralików trwałyby jak zawsze przygotowania do świąt, ale tym razem jest inaczej. Seniorzy rodu będą obchodzić 40. rocznicę ślubu. Taka okazja zasługuje na szczególną oprawę! Dlatego ich cztery dorosłe córki przygotowują niespodziankę – zamierzają zabrać rodziców do urokliwego pensjonatu w górach. Szykuje się wspaniała rodzinna uroczystość.

Najmłodsza z sióstr, Elżbieta, jako jedyna nie ma osoby towarzyszącej. Aby uniknąć nietaktownych pytań, postanawia wynająć atrakcyjnego mężczyznę, który odegra rolę jej nowego chłopaka. Nie ma jednak pojęcia, jak bardzo ten „udawany narzeczony” różni się od jej bliskich.

Mikołaj do wynajęcia to komedia romantyczna, w której uśmiech przeplata się ze wzruszeniem, a przez zabawne sytuacje przeziera zaduma nad prawdziwym duchem świąt oraz tym, co łączy nas wszystkich: potrzebą ciepła i bliskości.

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8357-748-7



9 788383 577487